

# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# SZCZEROZŁOTY KANION

Jack London

Było to zielone serce kanionu, gdzie skalne ściany rozstępowały się nieco i tracąc surowość linii opasywały małą zaciszną kotlinkę wypełnioną po wręby wdziękiem, urokiem, słodyczą. Wszystko tam spoczywało. Nawet wąski potok nie płynął wartkim nurtem, lecz rozlewał się szerzej w lustrzaną sadzawkę. Rudy jeleń o wielokończastych rogach stał po kolana w wodzie; drzemał z opuszczoną głową i przymkniętymi oczyma.

Jeden brzeg sadzawki zajmowała łączka — chłodny, zielony pomost łączący rąbek wody z podstawą urwiska. Po drugiej stronie łagodny, żyzny stok wznosił się coraz wyżej i wyżej i stapiał się wreszcie z przeciwległą ścianą kanionu. Stok porastała piękna trawa gęsto usiana kwiatami, które tu i ówdzie rzucały barwne plamy — pomarańczowe, szkarłatne lub złote. Niżej kanion był zamknięty, nie dawał perspektywy. Ściany pochylały się ku sobie, spotykały nagle i kotlinkę kończył chaos omszałych skał, ukrytych za kotarą pnączy i koronami drzew, co rosły w dole. W górnym biegu potoku widać było liczne, porosłe sosną kopy i stożki wysokiego podgórza, a dalej, jeszcze dalej, jak chmury na widnokręgu, strzelały w niebo minarety bieli — tam, gdzie promienie słońca zapalały chłodne blaski na wiecznych śniegach Sierry .

Kanion nie znał kurzu. Liście i kwiaty były czyste, dziewicze, a młoda trawa lśniła niby aksamit. Tuż nad sadzawką trzy drzewa bawełniane sypały śnieżny puch, który płynął powoli w nieruchomym powietrzu. Na stoku krzewy manzanity pachniały wiosną, a ich liście — jak gdyby wiedziały o nadchodzących skwarach letnich — zaczynały już zwracać się. prostopadłe ku ziemi. Na słonecznych skrawkach stoku, dokąd nie sięgały nawet najdłuższe cienie manzanity, chwiała się lilie mariposa, podobne stadku motyli-klejnotów, co przysiadły na moment, lecz są gotowe do odlotu. Tu i ówdzie arlekin lasu, madrone, przyłapany w okresie gdy zmienia trawiastozieloną korę na krwawopurpurową, nasycał atmosferę upajającą wonią płynącą z kiści dzwonek, jak gdyby ulepionych z wosku. Dzwonki te były kremowo białe, przypominające kształtem konwalie, a dobywał się z nich iście wiosenny zapach.

Nie szemrał najłżejszy wietrzyk. Atmosfera była senna, nieruchoma, uperfumowana słodyczą, która dławiliby niewątpliwie w ciężkiej wilgoci. Tutaj jednak była czysta, rzeźwa jak światło gwiazd odmienione w powietrzu, przesycone i ogrzane promieniami słońca, zaprawione oddechem kwiatów.

Raz po raz przelotny motyl ukazywał się lub nikał pośród plam światła i cieni. Zewsząd monotonnie bzykały pszczoły górskie — uczujący sybaryci, co dobrodusznie potracają się u stołu i nie mają ochoty na złośliwe sprzeczki. Mały potoczek cicho sunął kanionem i tylko od czasu do czasu odzywał się stłumionym bulgotaniem. Odgłosy te przypominały senny szept, co cichnie w chwilach drzemki i odradza się znowu, gdy następuje przebudzenie.

W sercu kanionu wszystko poruszało się płynnie. Słoneczne plamy i motyle przyplływały i odpływały pośród drzew. Pobrząkiwanie pszczoł i szepty wody grały płynną melodię. Płynne tony i płynne barwy łączyły się, splatały w delikatną, nieuchwytną tkaninę, którą wyrażał się duch tego

ustronia. Był to duch spokoju, lecz nie martwoty — łagodnie tętniącego życia; duch ciszy, która nie jest milczeniem; ruchu, który nie jest czynem; spoczynku, pulsującego istnieniem, ale wolnego od gwałtownych porywów walki i pracy. Duch tego ustronia, to duch dobrotliwego życia drzemającego rozkosznie, zadowolonego z dostatków, nie płoszonego nigdy zgiełkiem odległych wojen.

Rudy jeleni o wielokończastych rogach poddawał się władzy ducha tego ustronia i drzemał stojąc po kolana w chłodnej, ocienionej sadzawce. Odpoczywał spokojnie, bo w kanionie nie było much, które mogłyby mu dokuczać. Czasami, kiedy potok budził się i zaczynał szemrać, jeleni nastawiał uszu. Ale poruszał nimi leniwie, jak gdyby wiedział z góry, że to tylko strumyk-śpioch zrzędzi na siebie.

Nadeszła jednak chwila, gdy rudy zwierz drgnął, zeszywniał i czujnie jął łowić uchem dźwięki. Zwrócił głowę w kierunku biegu strumyka. Począł węszyć wrażliwymi, ruchliwymi chrapami. Wzrokiem nie mógł przebić zielonej zasłony, za którą niknął potok, doszedł go jednak głos człowieka. Był to głos jednostajny, miarowy, śpiewny. Wreszcie jeleni usłyszał odległy brzęk metalu o kamień. Chrapnął, podskoczył nagle i jednym susem przeniósł się z wody na trawę. Racicami ugrzązł w świeżym aksamicie, nastawił uszu i znowu zaczął węszyć. Później ruszył przez łączkę, przystając raz po raz, żeby nasłuchiwać, i przepadł z kanionu jak bezszelestnie stąpająca mara.

Podkute buty stukwały coraz mocniej na skalistym gruncie. Męski głos nabierał siły. Śpiewał, a gdy się zbliżył, zabrzmiał tak wyraźnie, że można było rozróżnić słowa:

*Odwróć oczy, spójrz, o spójrz  
Ku tym skłonom miłych wzgórz  
(Potęga złego już w tobie złamana).  
Spójrz dokoła, oczy zwróć,  
Brzemię grzechów z siebie zrzuc  
(Rankiem staniesz przed obliczem Pana).*

Gdy śpiewce zaakompaniował szelest gałęzi, duch ustronia czmychnął śladem rudego jelenia. Niebawem rozchyliła się zielona zasłona i człowiek spojrzał ciekawie na łączkę, sadzawkę i łagodne zbocze kanionu. Sprawiał wrażenie mężczyzny bardzo serio. Jednym rzutem oka objął całość, a później zaczął wodzić wzrokiem po szczegółach, aby potwierdzić ogólne wrażenie. Dokładnie zlustrował wszystko i wówczas dopiero otworzył usta nie skąpiąc gorących i dobitnych słów uznania:

— A bodaj to lichy i wszyscy diabli! Jest przynajmniej na co spojrzeć! Lasek i woda, i trawa, i zbocze jak się patrzy! Prawdziwa frajda dla faceta, co szuka złotej dziury, i raj dla szkapy! Świeża zieleń — lek na zmęczone oczy. A wszystko razem lepsze na anemię niż pigułki. Ustronna działka dla poszukiwacza i dobry postój dla jego chabety! A niech to lichy!

Nowo przybyły miał ziemistą cerę, co nie przeszkadzało bynajmniej wyrazowi dobrego humoru i stałej pogody. Ruchliwa twarz zmieniała się często, zależnie od wewnętrznych nastrojów. Jego myśli były nieomal widoczne: przesuwwały się po licach jak gnane wiatrem fale po powierzchni jeziora. Skąpe, zmierzwiłone włosy, od dawna nie strzyżone, miały kolor równie nieokreślony jak cera. Zdawać się mogło, że cały przeznaczony dlań barwnik zebrał się w zdumiewająco błękitnych oczach, wesołych i roześmianych, pełnych dziecięcej naiwności i zdziwienia. Zarazem jednak były to oczy, z których wyglądała niemała pewność siebie i siła woli płynąca ze znajomości własnej osoby i świata.

Stojąc jeszcze za kotarą z pnączy mężczyzna rzucił przed siebie górniczy kilof, łopatę i miskę do płukania złota. Później wylazł na polanę. Miał na sobie spłowiały kombinezon i czarną bawełnianą

koszulę. Strój ten uzupełniały ciężko podkute buty i bezkształtny kapelusz o plamach dowodzących starej znajomości z wiatrem, deszczem, słońcem i dymem obozowych ognisk. Mężczyzna stał wyprostowany, szeroko otwartymi oczyma oglądał pejzaż i przez rozdęte, drgające nozdrza wdychał z lubością słodki, gorący zapach kanionu-ogrodu. Oczy przymknął tak, że widać było tylko swawolne niebieskie szparki; zrobił wielce zadowoloną minę, uśmiechnął się z humorem i zawołał głośno:

— Polne róże i przydrożne mlecze! Pachnie nienajgorzej! Niech tam kto chce gada o olejku różanym i fabrykach wody kolońskiej. Już ja wolę to!

Miał zwyczaj monologować. Zmiany wyrazu jego ruchliwej twarzy mówiły wprawdzie o wszystkich uczuciach i myślach, lecz język rwał się też do roboty i powtórnie mówił to samo, jak drugi Boswell.

Gaduła położył się na brzegu sadzawki i chciwie pił wodę.

— Smakuje nienajgorzej — mruknął.

Otarł usta wierzchem dłoni, zadarł głowę i spojrzał na przeciwległą ścianę. Uwagę jego przykuło łagodne zbocze. Leżał wciąż na brzuchu i długo, uważnie studiował budowę stoku. Doświadczonym wzrokiem powędrował w górę, do stóp poszarpanej ściany skalnej, i wrócił aż na brzeg sadzawki. Wreszcie dźwignął się na nogi i jeszcze raz powtórzył oględziny.

— Wygląda nienajgorzej! — orzekł i podniósł kilof, szufłę i miskę.

Niżej sadzawki przeprowił się przez potok skacząc zręcznie z kamienia na kamień. W miejscu gdzie zbocze dotykało wody, zaczerpnął i wsypał do miski pełną łopatę ziemi. Przykucnął, chwycił w obie ręce miskę i zanurzywszy ją częściowo w strumyku, począł wykonywać wprawne obrotowe ruchy. Nabierał i wychlapywał wodę, która opłukiwała żwir i piasek tak, że największe i najlżejsze cząstki wydobywały się na wierzch. Poszukiwacz zręcznie przechylał naczynie i śmiecie wyrzucał do wody. Od czasu do czasu, aby przyspieszyć sprawę, stawiał miskę na trawie i palcami wybierał większe kamyki i odłamki skalne.

Miska pustoszała szybko i niebawem został na dnie tylko miałki proch i najmniejsze kruszyny żwiru. Wówczas mężczyzna zaczął pracować bardzo ostrożnie i starannie. Kończył płukanie i z resztką obchodził się coraz delikatniej, dopóki nie pozostało na pozór nic prócz wody. Kiedy jednak miska zatoczyła prędkie półkole i woda chlusnęła do strumienia, na dnie ukazała się warstwa czarnego piasku tak cienka jak powłoka farby. Poszukiwacz obejrzał ją z bliska i wypatrył pośrodku maleńką złotą plamkę. Znowu zaczerpnął nieco wody i potrząsając miską wielokrotnie poruszył i obrócił drobiny piasku. W nagrodę za trud uzyskał drugą maleńką plamkę złota.

Miał teraz robotę delikatną, nieporównanie delikatniejszą, niż zdarza się kiedykolwiek przy zwykłej pracy górnika. Płukał czarny piasek małymi porcyjkami na ledwie wklęsłym brzegu miski. Każdą porcyjkę przeglądał nad wyraz troskliwie i wyrzucał wówczas dopiero, gdy zbadał ją wzrokiem do ostatniej drobin. Ostrożnie, po trochu pozbywał się czarnego piasku, a kiedy na brzegu dostrzegł żółtą plamkę nie większą niż koniec szpilki, manipulował wodą tak, że złoto wracało na dno. W taki sam sposób upolował jeszcze jedną i drugą drobinę. Obchodził się z nimi nader pieczołowicie. Jak pasterz zbierał swą trzódkę, by nie zgubiła się ani jedna sztuka. Wreszcie, gdy na dnie nie zostało nic prócz okruszyn złota, policzył je i nie bacząc na tak wiele trudu, wychlusnął do potoku razem z resztą wody. Ale kiedy dźwignął się i wyprostował, jego błękitne oczy płonęły pożądaniem.

— Siedem — mruknął, jak gdyby chciał dobrze spamiętać ilość drobin, które uzyskał z tak wielkim staraniem i wyrzucił pogardliwie. — Siedem — powtórzył głośniejszym głosem, jakby chciał tę cyfrę wbić sobie do głowy.

Długo stał bez ruchu zapatrzony w łagodny stok nad sadzawką. W oczach miał wyraz

zainteresowania, nowo narodzonego, żywego. Całą jego postawę cechowała czujność i napięcie drapieżnika, który zwierzył świeży trop zwierzyny.

Przesunął się o kilka stóp w dół potoku i ponownie napełnił miskę ziemią. I tym razem płukał ostrożnie, pieczołowicie gromadził złotą trzódkę, a zliczywszy ją wyrzucił lekceważąco do potoku.

— Pięć! — mruknął z namysłem. — Pięć!

Przed powtórzeniem zabiegów nieco w dół potoku, znowu przemierzył zbocze bystrym wzrokiem. Nie potrafi odmówić sobie tej przyjemności. Oddalał się od sadzawki i gromadził coraz mniej okruszyn złota.

— Cztery, trzy, dwie, jedna — takie liczby wbijał sobie w pamięć, a kiedy uzyskał tylko pojedynczą plamkę, zaniechał dalszej pracy i rozniecił ogień z suchego chrustu. Wsunął miskę w płomienie i opalał ją, aż nabrała kruczoczarnej barwy; wtedy obejrzał krytycznym wzrokiem i z uznaniem kiwnął głową. Na takim tle nie ujdzie mu najmniejszy bodaj złoty punkcik!

Znów oddalił się od sadzawki i nabrał ziemi, która przyniosła samotną plamkę. Następna porcja wcale nie zawierała złota. Nie uspokoiło to poszukiwacza, gdyż trzykrotnie nabierał łopatą ziemi ledwie o stopę jedną od drugiej. Nie znalazł nic, ale zamiast się tym martwić, sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego. Po każdej bezowocnej próbie robił weselszą minę, aż wreszcie wyprostował się i zawołał radośnie:

— Jak Boga kocham! Niech mnie kaczki zdepczą, jeśli nie trafiłem tu na coś naprawdę klasa!

Wrócił na miejsce, w którym przystąpił do dzieła, i zaczął płukać posuwając się pod prąd strumienia. Zrazu złote trzódki rosły — rosły zdumiewająco.

Czternaście, osiemnaście, dwadzieścia jeden, dwadzieścia sześć — rejestrował w pamięci.

Tuż za sadzawką uzyskał najbogatszą zdobycz: trzydzieści pięć złotych plamek.

— To prawie dosyć, żeby zacząć chować — powiedział z żalem, gdy spłukiwał miskę.

Słońce osiągnęło najwyższy punkt swej drogi. Człowiek harował dalej. Miska po misce przesuwał się w górę strumyka i za każdym niemal razem osiągał gorszy wynik.

— Dobra nasza — mruknął, kiedy na czarnym tle wypatrzył samotną jasną plamkę — złotko topnieje, topnieje...

A kiedy kilka kolejnych porcji nic nie przyniosło, wyprostował grzbiet i spojrzał na zbocze pełnym zaufania wzrokiem.

— Hop, hop! Pani Złotadziura! — krzyknął, jak gdyby miał słuchacza ukrytego gdzieś pod powierzchnią stoku. — Hop, hop! Pani Złotadziura! Idę już, idę! Mało wiele, o dobiore się do pani! Słyszysz mnie, pani Złotadziuro? Mało wiele, a dobiore się do pani! Niech mnie szlag trafi, jeżeli się nie dobiore!

Odwrócił się, zadarł głowę i bystrym spojrzeniem ocenił położenie słońca na bezchmurnym lazurze. Następnie ruszył z biegiem potoku wzdłuż linii śladów własnej łopaty. Niżej sadzawki przeprowił się na drugi brzeg i zniknął za zieloną kotarą. Ale duch ustronia nie zdążył wrócić. Nie oblekł kotlinki w ciszę i spoczynek, gdyż nieustannie słychać było mężczyznę, który śpiewką głosił swe prawo własności do kanionu.

Niebawem — tym razem głośniejsz — zatupotały na skalnym gruncie podkute buty. Zielona zasłona poczęła ruszać się tam i z powrotem, jak gdyby ją ktoś gwałtownie targał. Donośnie zgrzytał i brzęczał metal. Głos ludzki brzmiał mocno, rozkazującym tonem. Coś dużego szamotało się i sapało. Słychać było chrzęst, trzask i łomot. Wreszcie wśród wiru liści ukazał się koń dźwigający juki obwieszone połamanymi gałązkami i urwanymi pędami pnączy. Zwierzę spojrzało ze zdziwieniem na kotlinkę, do której zostało wpędzone, spuściło łeb i ze smakiem poczęło szczypać trawę. Dalej szedł drugi koń. Raz pośliznął się na omszałej skale i odzyskał równowagę wówczas dopiero, gdy zarył

kopytami w miękką powierzchnię łączki. Był bez jeźdźca, chociaż na grzbiecie niósł meksykańskie siodło o wysokim łuku, wytarte i spłowiałe od długiej służby.

Ostatni zjawił się człowiek. Zrzucił na ziemię juki i siodło, wzrokiem wybrał miejsce na biwak i pozwolił koniom paść się do woli. Rozpakował zapasy żywności nie zapominając o patelni i saganku do gotowania kawy. Później zebrał naręcze chrustu i kilkoma kamieniami obłożył miejsce na ognisko.

— Do pioruna! — zawołał. — Ale mam apetyt! Mógłbym nazreć się gwoździ i różnego żelastwa, a w dodatku podziękować ślicznie,, gdybym dostał repetę!

Wyprostował się i sięgnął do kieszeni po zapaliki, ale w tej chwili wzrok jego powędrował za sadzawkę, ku łagodnemu stokowi. Trzymał już w ręku pudełka, lecz wypuścił je i wyjął z kieszeni próżną dłoń. Wahał się najwidoczniej. Raz spoglądał na przybory kuchenne, raz na zbocze kanionu.

— Jeszcze trochę podłubię — mruknął przeprawiając się na przeciwny brzeg strumyka i dodał tonem usprawiedliwienia: — Wiem,, że to bez sensu, ale nikomu nic się nie stanie, jak godzinkę poczeka na żarcie. Chyba mam rację?

Kilka stóp za linią śladów po próbnym miskach rozpoczął drugą. Słońce odbywało wędrowkę w dół do zachodniego widnokregu, cienie się wydłużały, a on ciągle pracował. Po drugiej linii przysła kolej na trzecią. Kopacz piął się coraz wyżej i linia po linii przecinał w poprzek zbocze. Środek przynosił zawsze najbogatszą zdobycz, a końce sięgały miejsc, gdzie złota nie było wcale. Każda wyżej położona linia była krótsza od poprzedniej, a regularność, z jaką się skra cały, budziła nadzieję, że gdzieś w górze ostatnia będzie zupełnie krótka i wyżej znajdzie się miejsce jedynie na punkt. Ogólny zarys poczynał kreślić odwróconą literę „V”, której zbieżne boki wyznaczały granicę złotodajnego pokładu, a wierzchołek stanowił niewątpliwie cel, do którego zmierzał poszukiwacz.

Często przebiegał wzrokiem te zbieżne boki i spoglądając w górę próbował odgadnąć, w jakim punkcie leży wierzchołek, gdzie nieodwołalnie muszą zniknąć ślady złota. Tam rezyduje przecie „Pani Złotadziura”, jak kopacz poufale nazywał wymarzony cel swych trudów położony gdzieś wyżej na łagodnym stoku.

— Hej! — zawołał. — Pokaż no się, pani Złotadziura! Bądź dobra i grzeczna!! Pokaż się!

— Nie chcesz, to nie — mówił później tonem spokojnej rezygnacji. — W porządeczku, pani Złotadziura! Powoli idę sobie pod górkę, no i trafię do ciebie, za łysy łeb wywlokę!

— Wywlokę! Jak Boga kocham, wywlokę! — odgrażał się po dłuższej pauzie.

Każdą kolejną miskę zanosił nad potok i płukał, a im wyżej się, wspinał, więcej zdobywał. Wreszcie zaczął zbierać złoto do pustej puszeki po proszku do pieczenia, którą bez należytego szacunku przechowywał w kieszeni kombinezonu. Tak zapamiętał się w robocie, że nie zauważył nadciągającej nocy, która oznajmiała się długim zmierzchem. Dopiero wówczas, gdy nie mógł już dojrzeć jaśniejszych plamek na dnie miski, zorientował się, że czas płynie. Wyprostował się szybko, zrobił zdziwioną, zatroskaną minę i zawołał:

— Bodaj mnie licho! Na śmierć zapomniałem o obiedzie!

Na oślep przebrnął po ciemku strumień i zapalił czekające od dawna ognisko. Na kolację miał podplomyki, boczek i odgrzaną fasolę. Później zapalił fajkę i siedząc przy dogasających węglach słuchał odgłosów nocy i gapił się na kaniom skąpany w księżycowym blasku. Wreszcie rozwinął pościel, zrzucił ciężkie buty i po szyję okrył się kocami. W świetle księżycy twarz miał prawie białą. Wyglądał jak trup, ale trup, co nie wątpi w zmartwychwstanie, gdyż podniósł się na łokciu i jeszcze raz przemierzył wzrokiem swoje zbocze.

— Dobranoc, pani Złotadziura! — zawołał sennym głosem, — Dobranoc.

Przespał szary ranek i ocknął się dopiero, gdy poczuł promień słońca na zamkniętych powiekach. Usiadł raptownie i przez czas pewien rozglądał się dokoła, aby ustalić ciągłość swojego życia i

chwilę obecną przypiąć jakoś do przeszłości.

Z garderobą niewiele miał kłopotu, bo musiał tylko zapiąć sprzączki butów. Spojrzał na swoją „kuchnię” i na zielone zbocze kanionu, lecz poskromił widać pokusę, bo rozniecił ogień.

— Pomału, Bill! Pomału! — udzielił sobie przestrogi. — Z pośpiechu nigdy nie wynikło nic dobrego. Co nagle, to po diable. Pani Złotadziura poczeka na ciebie. Nie zwieje, zanim zjesz śniadanie. Posłuchaj, Bill! Trzeba ci coś świeżego dla odmiany. No, do roboty! Reszta zależy od ciebie.

Nad potokiem ściał krótki pręt. Z kieszeni wygrzebał kawałek sznurka i pogniecioną muszkę rybacką.

— Kto wie? Może wczesnym rankiem będą dobrze brały? — mruknął rzucając zaimprovizowaną wędkę i po chwili wrzasnął radośnie. — No, nie mówiłem! Nie mówiłem!

Nie miał kołowrotka i nie zamierzał marnować czasu, toteż szarpnął mocno i wyciągnął z wody błyszczącego dziesięciocalowego pstrąga. Następne trzy złowił szybko jednego po drugim, miał więc obfite śniadanie. Idąc do pracy na zboczu przystanął nagle nad potokiem. Doznał olśnienia.

— Chyba lepiej rozejrzeć się trochę w dół strumienia — powiedział. — Diabli wiedzą, czy jaki kundel nie myszkuje po okolicy.

Mimo to przeprawił się na drugi brzeg po kamieniach i chociaż pomrukiwał: „Naprawdę, warto by się rozejrzeć”, rychło przy robocie zapomniał o wszelkich środkach ostrożności.

Rozprostował się dopiero wieczorem. Plecy bolały go nieznośnie od schylania i wysiłku, toteż ręką gładził się po krzyżu i nie tracąc czasu gadał do siebie:

— No i co z tego będzie? Znow na śmierć zapomniałem o obiedzie! Trzeba się pilnować, bo jak nic zrobi się ze mnie maniak, co żre tylko dwa razy na dzień.

Takie szukanie złotej dziury, to najgorsza zaraza. Człowiek całkiem traci głowę — zrzędził tego wieczora otulając się kocami. Nie zapomniał jednak krzyknąć w kierunku zbocza: — Dobranoc, pani Złotadziura! Dobranoc!

Wstał ze słońcem i po byle jakim śniadaniu wczesnie wziął się do pracy. Gorączka w nim rosła, a sprzyjała temu coraz bogatsza zawartość misek. Twarz miał zaczerwienioną nie tylko od upału. Nie odczuwał znużenia, chociaż godziny mijały. Napełniał miskę i zbiegał na dno kanionu, żeby zająć się płukaniem, nie zdołał jednak powstrzymać się od pośpiechu, gdy wracał po nową łopatę piasku i potykając się, sapiąc ciężko, co tchu biegł pod górę.

Oddalił się już o sto jardów od wody, a odwrócone „V” rysowało się wyraźniej. Szerokość złotodajnego pokładu była coraz mniejsza. Kopacz przedłużał w myśli jej krawędzie do punktu przecięcia, gdzieś u góry zbocza. Wierzchołek „V” stanowił jego cel, nieraz więc głowił się, by dokładnie określić położenie.

— Akurat dwa jarde nad tym krzakiem manzanity i koło jarda w prawo — zawyrokował wreszcie.

Pomału zaczynał ulegać pokusie.

— Sprawa jasna, jak dwa a dwa cztery — mruknął, gdy porzuciwszy pracowite kopanie na poprzek, wspiał się do spodziewanego wierzchołka „V”.

Napełnił miskę i poniósł ją w dół do płukania. Nie zawierała ani śladu złota. Kopał płytko, kopał głęboko, lecz mimo kilkunastu prób nie zyskał w nagrodę ni jednej złotej plamki. Zirytował się, że tak niemądrze uległ pokusie, i nie bacząc na godność własną, beształ się ohydnie. Wreszcie zszedł niżej i wrócił do kopania w poprzek.

— Powoli, a na pewniaka, Bill! Powoli, a na pewniaka — mamrotał. — Krótka droga do forsy, to nie twoja specjalność. Czas, żebyś o tym wiedział. Nie bądź frajer, Bill, nie bądź frajer! Powoli, a

na pewniaka! Tylko takim atutem możesz wygrać. No, to trzymaj ten atut w garści i wygrywaj.

Linie poprzecznych kopań stawały się coraz krótsze dowodząc, że krawędzie „V” muszą się połączyć. Za to pokład uciekał głębiej i głębiej. Złoto kryło się we wnętrzu wzgórza. Żółta barwa pojawiała się tylko na głębokości trzydziestu cali. Próbkę z dwudziestu pięciu i trzydziestu pięciu cali pozostawiały czyste dno miski. U podstawy „V”, nad strumykiem, złoto trafiało się między korzeniami trawy. Ale tym głębiej zapadało, im wyżej posuwała się robota. Kopanie trzystopowego dołu dla dobycia jednej próbnej miski — to ciężkie zadanie, zwłaszcza jeśli nieokreślona liczba dołów dzieli kopacza od wierzchołka.

— Diabli wiedzą, jak jeszcze głęboko zwieje! — westchnął poszukiwacz, gdy podczas krótkiej przerwy w pracy masował obolałe plecy.

Grzbiet mu dokuczał, ręce i nogi drętwiały, ale ulegał gorączce chciwości. Kilofem i łopatą przewracał i wyrzucał miękką, brunatną glebę. Uparcie pisał się coraz wyżej. Przed sobą miał równe zbocze usiane kwiatami i pachnące ich słodkim oddechem. Niżej ciągnął się obraz zniszczenia, jak gdyby wstrętne wysypka pojawiła się na gładkiej skórze ziemi. Poszukiwacz włókł się pod górę niby ślimak, co kala piękno smugą plugawego śluzu.

Zapadanie się pokładu wymagało wzmoczonej pracy, ale trud opłacały sowicie coraz korzystniejsze próby. Dwadzieścia centów, trzydzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt — taki był plon kolejnych, porcji. Wreszcie o zmierzchu kopacz przepłukał rekordową miskę: jedna łopata ziemi przyniosła całego dolara.

— Trzymam zakład, że jakiś ciekawy kundel przylezie moim śladem do tego ogródka. Takie już mam szczęście! — bąknął sennie tej nocy, podciągając koce po brodę.

Raptem usiadł prosto.

— Bill! — krzyknął na całe gardło. — Uważaj no, Bill! Słyszysz? Jutro z samego rana musisz rozejrzeć się dokoła i popatrzeć, czy czegoś nie widać. Rozumiesz? Jutro z samego rana! Tylko mi nie zapomnij!

Ziewnął i objął wzrokiem zryte zbocze.

— Dobranoc, pani Złotadziura! — zawołał.

Następnego dnia wyprzedził słońce, był bowiem po śniadaniu, kiedy sięgnął go pierwszy promyk. Zaraz wspiął się na ścianę kanionu, wykorzystując ślad dawnego osypiska. Na szczycie obrał punkt obserwacyjny i przekonał się, że tkwi pośrodku pustkowia. Dokąd sięgnął wzrokiem, widział tylko góry i góry, łańcuch po łańcuchu. Zwróciwszy się na zachód, błdził wzrokiem po niezliczonych grzbietach podłużnych i poprzecznych, aby wreszcie dostrzec białe wierzchołki Sierry — najwyższe pasmo, gdzie zachodni kontynent wspiera się kręgosłupem o kopułę niebios. Na północ i południe wyraźniej było widać labirynt krzyżujących się wałów i zapadlin. Ku zachodowi góry przypadały do ziemi, były coraz niższe i wreszcie przechodziły w falistą wyżynę, za którą musiała się ciągnąć niewidoczna z tego miejsca, rozległa dolina.

Na całym tym długim i szerokim obszarze kopacz nie zobaczył śladu człowieka lub dzieła jego ręki oprócz leżącego w dole zrytego stoku. Rozglądał się długo i uważnie. Raz miał wrażenie, iż widzi niewyraźny słup dymu daleko, w dolnym krańcu swego kanionu. Spojrzał ponownie i doszedł do wniosku, że to różowa mgła poranna rysuje się cieniem na tle sfałdowanej ściany skalnej.

— Hej, pani Złotadziura! — wrzasnął spoglądając w dół. — Moja pani! Nie włącz no mi w drogę! Uwaga! Lecę już, lecę, pani Złotadziura!

Na nogach miał niezgrabne, podkute buciory, można więc było sądzić, że mu trudno schodzić, ale z góry mknął lekko i zwinnie niby kozica. Nie przerażały go ruchome głązy nad skrajem otchłani. Wiedział dokładnie, ile potrzeba czasu, by zrzucić kamień i wywołać katastrofę, korzystał więc z



chwiejnej podpory, odbijał się od niej i w mgnieniu oka lądował bezpiecznie. W miejscach, gdzie spadek był tak stromy, że ni chwili nie dało się stać prosto, poszukiwacz nie wahał się wcale. Na ułamek sekundy dotykał stopą zdradliwej powierzchni i jednym susem przenosił się niżej. Jeżeli nawet i to było niepodobieństwem, w przelocie opierał rękę o występ skalny, krawędź szczeliny albo wąły krzew o wiszących korzeniach. Wreszcie wydał przeraźliwy okrzyk, skoczył z rozmachem i zamieniwszy ścianę skalną na ruchome osypisko, zjechał do końca na kilku tonach żwiru i kamieni.

Tego rana pierwsza miska przyniosła ponad dwa dolary w zanieczyszczonym złocie. Pochodziła ona ze środka pokładu. W prawo i w lewo wartość próbek malała szybko. Kurczyły się też poprzeczne linie dołów. Ledwie kilka kroków dzieliło ramiona odwróconego „V”, a punkt przecięcia musiał wypaść o kilka jardów wyżej. Zarazem jednak bogaty pokład chował się coraz głębiej. Wczesnym popołudniem trzeba było kopać pięciostopowe doły, nim na dnie miski pozostały ślady złota.

Prawdę rzekłszy, nie były to już ślady, lecz opłacalne kopanie i płukanie. Poszukiwacz zdecydował więc w duchu, że po odkryciu samorodnej żyły — czyli złotej dziury — wróci i przystąpi do normalnej pracy na powierzchni. Ale wciąż korzystniejsze próby zaczęły go martwić. Pod wieczór miski dawały po trzy i cztery dolary. Kopacz podrapał się w czuprynę i zatroskanym wzrokiem spojrzał na krzew manzanity, który w przybliżeniu wytyczał wierzchołek „V”. Pokiwał głową i przemówił tonem wyroczni:

— Jedno z dwojga, Bill. Powiadam: jedno z dwojga. Albo pani Złotadziura wysypała całą forszę na ten cholerny stok, albo jest diabelnie bogata i wszystkiego nie będziesz mógł zabrać ze sobą. A to dopiero byłaby historia, he? Powiadam ci: piekielna historia!

Aż zachichotał na myśl o tak miłym zmartwieniu. Noc zastała go nad potokiem, gdzie kończył płukanie pięciodolarowej miski.

— Szkoda, że nie ma elektryki. Wolałbym pracować dalej — mruknął.

W nocy dręczyła go bezsenność. Wielekroć układał się wygodnie, zamykał oczy i czekał na drzemkę. Ale krew burzyła się w nim z wielkiej chciwości, toteż raz po raz podnosił powieki i mamrotał:

— Żeby już to słońce wzeszło...

Na koniec zasnął, lecz zbudził się, ledwie gwiazdy zbladły, a o szarym brzasku był już po śniadaniu i piął się pod górę w stronę tajemniczej kryjówki pani Złotejdziury.

Na pierwszej linii poprzecznej zmieścił tylko trzy doły. Bogaty pokład był już bardzo wąski i kopacz zbliżał się niewątpliwie do źródła złotego strumienia, którego nurt badał od czterech dni.

— Spokojnie, Bill, spokojnie — napominał się zaczynając ostatni, decydujący dół w punkcie, gdzie przecięły się nareszcie ramiona „V”

— Liczę na panią, pani Złotadziuro! Nie możesz mnie wykiwać — powtarzał nieraz, kopiąc głębiej i głębiej.

Cztery stopy, pięć, sześć — rył w ziemi drogę do fortuny. Robota szła teraz trudniej. Kilof szczerkał o odłamki skalne. Jeden z nich kopacz obejrzał uważnie.

— Zwiertzały kwarc — orzekł i wziął się do wybierania sypkich odłamków z dna dołu.

Wreszcie zaatakował kilofem kruchą skalę i bez trudu łupał ją każdym uderzeniem. Niebawem wsunął łopatę w rumowisko i w tej chwili złowił okiem żółtawy połysk. Rzucił łopatę. Szybko przysiadł na piętach. Oburącz chwycił odłamek zwiertzałego kwarcu i zaczął z niego ścierać żwir i piasek, podobnie jak farmer oczyszcza z wilgotnej ziemi świeżo wykopany kartofel.

— A bodaj to pioruny zatrzaśły! — krzyknął. — Kawałek jak się patrzy! Fajna grudka! Wygląda nienajgorzej!

W rękę trzymał tylko połowę skalnego odłamka. Druga połowa była dziewiczym złotem. Wrzucił zdobycz do miski i wziął się do badania innej grudy. Na powierzchni niewiele było widać, ale gdy starł zwietrzały kwarc w silnych palcach, miał obie ręce pełne żółtego kruszcu. Jeden po drugim oczyszczał kruche odłamki. Gromadził złoto w misce. Trafił na istną grootę skarbów. Kwarc zwietrzał tak bardzo, że było go mniej niż samorodków. Raz po raz trafiały się kawałki całkiem ogołoczone z kamienia — grudki czystego złota! Otwór, przez który kilof przebił się do głównej żyły, połyskiwał jak garść złotych klejnotów. Szczęśliwy znalazca przyglądał mu się z boku, przekrzywiał głowę, żeby tym lepiej śledzić grę światła na kruszcu.

— Tylko niech mi dziś nikt nie gada o cudownych odkryciach! — zawołał i skrzywił się pogardliwie. — To jest dopiero odkrycie! Wszystkie inne wyglądają przy nim jak wytarty szeląg. Złota robota! Szczerozłota! Aha! Mam już nazwę dla tego kanionu: Szczerozłoty Kanion! Jak Boga kocham! Szczerozłoty Kanion!

Siedząc wciąż na piętach sortował cenne okruchy i rzucał do miski. Raptem nawiedziło go przecucie niebezpieczeństwa. Jak gdyby cień padł na niego. Nie było jednak żadnego cienia. Serce skoczyło mu do gardła i zaczęło dławić. Krew stygła powoli, a zwilżona potem koszula niemiło chłodziła plecy.

Ale kopacz nie zerwał się, nie obejrzał, nie drgnął nawet. Analizował naturę szczególnego przecucia, próbował umiejscowić źródło tajemniczej siły, która udzieliła mu przestrogi, starał się odgadnąć istotę i położenie niewidzialnej groźby. Niebezpieczeństwo stwarza czasami szczególną atmosferę i daje o sobie znać przez posłów zbyt subtelnych, aby ogarnąć ich zmysłami. Kopacz odczuwał taką właśnie atmosferę, nie wiedział wszakże jak ani dlaczego. Zdawało mu się, że obłok przesłonił słońce, że między nim i życiem stało coś: ciemne, duszące, groźne — cień, co pochłania życie i zmierza w stronę śmierci — jego — śmierci.

Powinien poderwać się, spojrzeć w oczy nieznanemu niebezpieczeństwu. Tak doradzały mu wszystkie siły żywotne. Lecz duch ludzki ujarzmił panikę i kopacz siedział dalej na piętach, a w rękach piastował samorodek złota. Bał się obejrzeć, ale wiedział już, że coś jest za nim i w górze. Na pozór uwagę jego zaprzętała trzymana w rękach bryłka. Oglądał ją krytycznie, obracał na wszystkie strony, oczyszczał z resztek kwarcu. Ale przez cały czas zdawał sobie sprawę, że coś czyha i przez jego ramię patrzy na skarbiec.

Udając nadal, że nie obchodzi go nic prócz badanego samorodka, nasłuchiwał pilnie i wnet złowił uchem szmer oddechu. Coś nad nim dyszało. Wzrokiem szukał przed sobą jakiegokolwiek broni, lecz widział tylko wydarte ziemi złoto — bezużyteczne teraz w straszliwej potrzebie. Miał także kilof — broń bardzo poręczną w pewnych okolicznościach — w pewnych, ale nie w takich, jak obecnie. Nagle zrozumiał jasno swe przecucie. Znajdował się w wąskiej norze, głębokiej na siedem stóp. Głową nie mógł sięgnąć powierzchni ziemi. Był w pułapce.

W dalszym ciągu nie ruszał się, siedział przycupnięty na piętach. Był chłodny, opanowany, ale choć łamał głowę na wszystkie sposoby, dochodził wciąż do wniosku, że nic nie poradzi. Zaczął znowu sortować i czyścić kawałki kwarcu, gromadzić złoto w misce. Nie mógł nic przedsięwziąć. Rozumiał jednak, że wcześniej czy później będzie musiał podnieść się, stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, co dyszy za plecami.

Mijały minuty, a wraz z upływem każdej kopacz zdawał sobie sprawę, że jest o minutę bliżej chwili, kiedy wstanie, albo... (pod wilgotną koszulą lodowaty dreszcz wstrząsnął jego ciałem)... albo zginie pochylony nad świeżo zdobytym skarbem.

Mimo to siedział spokojnie na piętach, oczyszczał samorodki złotego kruszcu i rozmyślał, w jaki sposób najlepiej będzie zacząć. Mógł zerwać się gwałtownie, na rękach dźwignąć w górę i

niewiadomej, wrogiej sile stawić czoło na równej powierzchni. Mógł także prostować się powoli, niedbale, beztrąsko i udać, że niespodzianie spostrzegł to coś, co oddychało za nim. Instynkt i przyrodzony nerw walki doradzały oczywiście gwałtowny skok z pułapki. Rozsądek i przezorność sprzyjały powolnemu, pozornie przypadkowemu spotkaniu z niedostrzegalną złowrobną siłą. Kiedy snuł takie rozważania, usłyszał donośny, ogłuszający łoskot. Jednocześnie dostał potężny cios w lewą stronę pleców i poczuł w całym ciele płomienisty prąd, który biegł błyskawicznie od uderzonego miejsca. Wyskoczył w powietrze, lecz zachwiał się, nim zdążył stanąć. Skręcił się nagle jak liść od żaru i padł piersiami na miskę pełną złota. Twarzą leżał w piasku i skalnym gruzie, a nogi miał podkurczone, bo na dnie mało było miejsca. Kilkakrotnie wierzgnął konwulsyjnie. Wstrząsnął się całym ciałem, jak w ataku epilepsji. Westchnął głęboko i miarowo wypełnił płuca. Później wolno, wolniutko wydychał powietrze i jeszcze wolniej zapadał w bezwład, sztywniał.

Wyżej drugi mężczyzna stał z rewolwerem w ręku. Zaglądał do dołu. Długo patrzył na leżący na dnie nieruchomy kształt ludzki. Później usiadł na krawędzi nory i nie spuszczać z oka jej wnętrza, położył rewolwer na kolanach. Rękę wsunął do kieszeni, skąd wyciągnął skrawek pakowego papieru. Na papier wsypał kilka szczypt tytoniu. Powstał z tego papieros szary i niezdarny, z zawiniętymi cienkimi końcami. Nieznajomy ani na chwilę nie odrywał wzroku od skulonego w dole ciała. Potarł zapałkę i z rozkoszą wciągnął do głębi płuc kłęb dymu. Palił bez pośpiechu. Raz zgasł mu papieros, musiał więc zapalić go ponownie; przez cały czas przyglądał się leżącej niżej ofierze.

Wreszcie daleko rzucił niedopałek i stanął znowu. Zbliżył się do nory. Ręce oparł na przeciwległych krawędziach i nie wypuszczając rewolweru z prawej dłoni, wolno opuścił się w głąb. Nim sięgnął nogami dna, uwolnił ręce i zeskoczył z wysokości jarda.

W momencie gdy stopą dotykał gruzu, zobaczył błyskawiczny ruch ręki kopacza i na łydce poczuł silny ucisk, a później szarpnięcie, które go obaliło. Skacząc, rewolwer miał oczywiście nad głową, ale szybko opuścił ramię i nim upadł, zdążył nacisnąć cyngiel. W ciasnej przestrzeni strzał zagrzmiał ogłuszająco. Dym wypełnił norę i gęstą chmurą przesłonił wszystko. Nieznajomy uderzył w dno plecami, a kopacz przekręcił się kocim ruchem i runął na niego. Przygnieciony napastnik zgiął rękę, aby znów wystrzelić, lecz w tejże chwili podbito mu dłoń zwinnym ruchem łokcia. Wylot lufy zwrócił się w górę i pocisk utkwiał w ziemnej ścianie nory.

Wnet nieznajomy uczył na przegubie uścisk żelaznych palców. Toczyła się teraz walka o rewolwer. Każdy z zapaśników starał się zwrócić lufę w stronę nieprzyjaciela. Dym ulatywał z nory. Nieznajomy leżąc na grzbiecie zaczynał coś niecoś widzieć, lecz oślepnął nagle, gdy oczy zasypała mu garść umyślnie rzuconego piasku. Przeraził się i wypuścił z ręki rewolwer. W następnej chwili spowiła go ciemność tak nieprzenikniona, że pochłonęła rychło nawet świadomość ciemności.

Ale kopacz strzelał raz po raz, dopóki starczyło ładunków. Potem rzucił rewolwer i sapiąc ciężko usiadł na nogach trupa.

Dyszał. Z trudem łowił powietrze.

— Parszywy kundel — wykrztusił. — Niedaleko urządził sobie obóz, dał mi odwalić całą robotę, no i drań, u celu, strzelił mi w plecy.

Omal nie płakał ze złości i wyczerpania. Zerknął na twarz zastrzelonego. Pokrywała ją warstwa błota i piasku, trudno więc było rozpoznać rysy.

— Na oczy go nie widziałem — zaopiniował skończywszy oględziny. — Zwyczajny, pospolity złodziej, bodaj go diabli! No, i strzelił mi w plecy! Strzelił mi w plecy.

Rozpiął koszulę i obmacał się po lewej stronie z przodu i z tyłu.

— Przeszła czysto, jak złoto! Nic mi nie będzie — zawołał radośnie. — Trzymam zakład, że dobrze wycelowałem, ale, łajdak, poderwał spluwę, jak naciskał cyngiel! Ale mu dałem, dałem mu jak

się patrzy!

Jeszcze raz zmacał palcami otwór zrobiony w boku pociskiem i twarz sposepniała mu na chwilę.

— Dokuczać to będzie jak cholera — mruknął. — Pierwsza rzecz trzeba zrobić opatrunek i wiać stąd migiem.

Wylazł z nory i stokiem zszedł do swego biwaku. W pół godziny później wrócił prowadząc jucznego konia. Pod rozchełstaną koszulą widać było bandaż, którymi prowizorycznie opatrzył ranę. Ruszał się wolno. Niezręcznie manewrował lewą ręką, bynajmniej jednak nie oszczędzał jej przy robocie.

Trupowi założył pod ramiona pętle z liny od juków i dzięki temu zdołał go wywindować z dołu. Później zabrał się do zbierania złota. Uparcie harował przez kilka godzin, lecz często robił przerwy, by dać wypocząć sztywniejącej ręce, i mruczał za każdym razem:

— Strzelił mi w plecy! A, parszywy kundel! Strzelił mi w plecy! Kiedy wydobył cały skarb i pieczołowicie zawiązał złoto w kilka koców, z grubsza przeprowadził kalkulację:

— Czteryście funtów albo Turek ze mnie — orzekł. — Powiedzmy, że będzie w tym dwieście funtów kamienia i piachu. Ha! I tak zostaje dwieście funtów złota! Bill! Hej, Bill! Obudź no się! Dwieście funtów złota! Czterdzieści tysięcy dolarów! I to twoje, wszystko twoje!

Z humorem podrapał się w głowę i trafił na nieznamy rowek. Ciekawie przesunął po nim palcami, zmacał długą na kilka cali krechę wyoraną na ciemieniu przez drugi pocisk.

Ze złą miną zbliżył się do nieboszczyka.

— Więcej nie będziesz, co?! — wrzasnął. — Nie będziesz, he? No, i tak dostałeś za swoje uczciwie i z nawiązką. A na dokładkę sprawię ci przyzwoity pogrzeb. Ty nie zrobiłbyś tego dla mnie. Trzymam zakład.

Powlókł ciało nad dół i zepchnął. Głucho uderzyło o dno. Padło na bok, z twarzą zwróconą ku światłu. Kopacz spojrzął z góry na niedawnego przeciwnika.

— I co? Strzeliłeś mi w plecy! — powiedział oskarżycielskim tonem.

Za pomocą kilofa i łopaty zasypał dół. Później obładował konia złotem. Brzemie było za wielkie dla jednego zwierzęcia, toteż wróciwszy do obozu przełożył kilka paczek na swojego wierzchowca. I tak musiał zostawić część sprzętu: kilof, łopatę, miskę, zbędny zapas prowiantu i rozmaite mniej potrzebne graty.

Słońce stało w zenicie, gdy wypchnął konie za kotarę z pnączy. Wspinając się na wielkie i głązy zwierzęta przysiadły na zadach, cofały się, na oślep brnęły przez gęstwinę splątanej zieleni. Wierzchowiec upadł raz ciężko i kopacz zdołał go podnieść dopiero po zdjęciu bagażu. Kiedy koń stał już na nogach i ruszał dalej, człowiek wysunął głowę spomiędzy liści i raz jeszcze zerknął na zryte zbocze.

— Parszywy kundel — powiedział i wycofał się ostatecznie. Zaczęło się znów szarpanie, rwanie pnączy i gałęzi. Drzewa chwiały się znacząc drogę objuczonych koni. Podkowy dzwięczały stukając głośno o kamienie, a od czasu do czasu padały gniewne rozkazy. Wreszcie męski głos zaśpiewał:

*Odwróć oczy, spójrz, o, spójrz Ku tym skłonom miłych wzgórz! (Potęga złego już w tobie złamana). Spójrz dokoła, oczy zwróć, Brzemie grzechów z siebie zrzuć! (Rankiem staniesz przed obliczem Pana).*

Piosenka cichła i cichła, a gdy umilkła, pogodny duch ustronia wrócił na swoje miejsce. Potok zaczął znów szeptać i drzemać na przemian. Podniosło się senne brzęczenie pszczoł górskich. Ciężkim od woni powietrzem pozęgłowały śnieżne kłaczki bawełny. Motyle ukazywały się i niknęły między drzewami, a cały pejzaż kąpał się w gorących blaskach słońca. Tylko zryte zbocze i ślady kopyt na łączce znaczyły drogę burzliwego życia, które zakłóciło na krótko spokój cichego ustronia,

aby pójść własną drogą.

Przygotowano na podstawie [bookini.pl](http://bookini.pl)